



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Jedynym i najważniejszym tematem ostatnich dwóch tygodni była klęska powodzi...

Kto sam na własne oczy nie widział Wisły w majestacie grozy, nie patrzył na ten olbrzymi obszar wody, płynącej wartkim prądem i unoszącej z pośpiechem rabusia zdobyty łup, ten nie nabierze pojęcia z najlepszego opisu o rozmiarach katastrofy i jej wrażeniu.

Od lat czterdziestu nie pamiętano takiego wylewu; corocznie wprawdzie Wisła hulać zwykła o tej porze po brzegach nieopatrzonych i nie bronionych przed napacją wód: ale najwięksi pesymiści, przepowiadający katastrofę jako karę za opieszałość i lekceważenie w sprawie regulacji — nie przypuszczali, iż ta kara tak srogą stać się może.

Setki tysięcy rubli szkody wyrządziły rozpasane tonie, pochłonięły mnóstwo mienia, pracy i nadziei ludzkich, zatopili łany i pola, które w tym roku wyjątkowo ubłogosławione zapowiadały świetne urodzaje... jeden dzień wystarczył do zniszczenia wszystkiego.

Najbiedniejszy z biednych lud wiejski po obu stronach Powiśla ucierpiał najwięcej; dla niego zawsze najczarniejsza dola, gdy się niebo nad głowami ludzkiemi zachmurzy...

Wprawdzie namulone łaki w roku przyszłym będą żyzniejsze i mogą hojniejszym plonem wynagrodzić tegoroczne straty, ale nim słońce zjedzie, rosa oczy wyjada — bo na przednówku chleba, i ziarna, i paszy — zabrakło.

W wielu miejscowościach inwentarz padł z głodu, a ludziska biedni lada czem utrzymują się

przy życiu, spoglądając w niebo: czy na niem jakiego znaku miłosierdzia i pociechy nie dojrzą, wyglądając z brzegów, czy na Wiśle nie ukażą się statki i łodzie z pomocą i żywnością.

Warszawa, jak dobra macierz, pierwsza pośpieszyła na ratunek... hojną ręką sypnęła na początek, i groszy, i pożywienia.

Ta ofiarność Warszawy, tylekroć już w ważnych wypadkach wypróbowana, ma swoją piękną, choć smutną najczęściej tradycją, bo wywoływać ją zwykły klęski, niedola i nieszczęście.

W najcięższych przecież warunkach otwierają się serca i kieszenie zarówno — i dzieło miłosierdzia publicznego, dowód głębokiego współczucia, objaw solidarności wszystkich warstw i stronnictw zapisuje nową zaszczytną kartę w historii moralnej miasta naszego.

Na pierwszy ogień o katastrofie posypały się składki wszelkiego rodzaju i po raz pierwszy może zobaczyliśmy tę szeroką, nawet groszową ofiarność, która około jałmużniczej skarbony powodzian zgromadziła zarówno bogatych finansistów, jak ubogich wyrobników, panów i sługi, starszych i dzieci; obok możnej ofiary 3000 rs. bankiera zapisały się groszowe datki rzemieślników i stróżów kamienicznych.

Zawiązały się komitety prowincjonalne i miejscowe, powstało natychmiast mnóstwo projektów przysporzenia środków pomocy biednej ludności powodzią dotkniętej i zrabowanej; kupcy, fabrykanci, przemysłowcy, restauratorzy, nawet lekarze poświęcili pewien procent od swych dochodów na cel powyższy.

Gorąco wziął ogół do serca sprawę obywatelskich i humanitarnych obowiązków swoich, — tak jak powinno być w społeczeństwie, ograniczonem na własne siły, które zzewnątrz, od obcych, niczego, nawet słowa pociechy i współczucia spodziewać się nie może.

Niestety, nie możemy liczyć dziś na wzajemność

nawet tych, którym w idealnym porywie wyświadczyliśmy sami kiedyś rozmaite przysługi, — nie możemy się ludzi, że obca ręka wyciągnie się ku nam przyjaźnie i poda zgłodniałym kęs chleba a nieszczęśliwym rozbitkom losu łyżę z oczu obetrze. Mogą nas losy topić i głodzić, i doświadczać, przynębiać i znęcać się nad zgnębionymi. — nad Sekwaną, ani nad Dunajem nie pomyśli nikt o tem, że nad Wisłą, podobnie jak w Murcy, Sze-gedynie albo na Ischii ludzie cierpią i godni są ratunku i współczucia.

Europa jest egoistką, a filantropia jej bywa... dyplomacją.

Da Bóg, obejdziemy się bez obcej pomocy. Dawaliśmy sobie tyle razy radę sami, spróbujemy i teraz wypłynąć z toni o własnych siłach.

Oprócz składek i ofiar dobrowolnych, zbieranych przez komitety i wszystkie redakcje (rozumie się, że i przez redakcją *Bluszcza*), poważniejsze zasilki napłyną z rozmaitych przedsiębiorstw publicznych.

Szczęśliwą ręką rozpoczęło tę pracę nasze dzielne Towarzystwo Wioślarskie, które niedarmo od samego początku cieszy się taką ogólną sympatią. Już podczas powodzi, w chwilach największego niebezpieczeństwa, łódki Towarzystwa roznosiły pomoc i ratunek, a wiosła naszych marynarzy wiślanych walczyły skutecznie z falami.

Przystań na Solcu była punktem zbornym głównego sztabu filantropii, który się pierwszy zjawił na brzegu, by oko w oko stanąć z klęską i naprawiać to, co ona złego wyrządziła.

Najważniejszą wszelako zasługą Towarzystwa Wioślarskiego było odstawienie całego dochodu z uroczystości wianków na rzecz powodzian. Z uchwały komitetu zajęto się wykonaniem świętego programatu, i wśród przepięknej pogody zeszłego czwartku, wobec niezliczonych tłumów urządzono jeden z najpiękniejszych i najefektywniejszych festynów, jakie Warszawa oglądała.

Pelen poezji i malowniczości obchód tradycyjnych wianków udał się, chociaż w spóźnionym nieco terminie — przewybornie, a nieszczęśliwym przysporzyło naczysto przeszło 3000 rs.

Jak widzenia fantazyj przesuwały się po falach Wisły obrazy, oblane światłem dwóch słońc elektrycznych i ogni bengalskich; rozbrzmiewały śpiewy choralne, muzyka; strzelały w górę wspinały rakiety; jaśniały gwiazdy rojem iskier, płynęły wieńce oświetlone i transparenta z imionami wszystkich rzek główniejszych, zbuntowanych ostatnią powodzią, a wśród tego przesuwały się tajemniczo łodzie wiosłarzy...

Czarowny ten obraz na tle gwiaździstego nieba oświecał księżyc w pełni.

Widok był zachwycający, nietylko dla oczu.

W obchodzie wianków, tak szczęśliwie wznionym u nas przed kilku laty, ku czemu, bez przechwalenia własnych zasług i nasz głos nawołujący przyczynił się także — pozyskała Warszawa jedno z widowisk publicznych pełnych uroku, malowniczości i sympatycznych efektów, które długo w sercu i pamięci pozostają; Towarzystwo Wiosłarskie zaś mieć będzie w niem stałe źródło dochodu i najdzielniejszy chyba środek utrzymywania swojej popularności, tak szybko i tak zasłużenie zdobytej.

Oprócz wianków, któremi Wisła zrehabilitowała, choć w małej części, swą krzywdę, jaką rozszalała jej fale wyrządziły, spodziewać się należy, iż równie pomyślny rezultat materyalny przyniesie okolicznościowe wydawnictwo warszawskich literatów, dziennikarzy i artystów, którzy złożyli zajmujące album kilku-arkuszowe, ozdobione licznymi ilustracjami, a wydrukowane p.t. „Na pomoc“ w 10,000 exemplarzy.

Oryginalne to w swoim rodzaju wydawnictwo zawiera wiązanek mniejszych prac literackich i artystycznych całego zastępu głośniejszych u nas pisarzy, malarzy i muzyków.

Talent, nauka i praca pod firmą najszlachetniejszych uczuć miłości bliźniego i miłosierdzia względem niedoli bliźnich złożyły się w przeciągu dwóch tygodni na pamiątkowe dzieło, które powinno się znaleźć w ręku wszystkich, a znajdzie się niezawodnie, choćby nie ze względu na cel szlachetny, to ze względu na swą interesującą zawartość i cenę przystępną.

Koszta wydawnictwa ograniczono do *minimum*, współpracownictwo bowiem piór i ołówków przyszło bezinteresownie, drukarze warszawscy grosza nie wzięli za złożenie i wydrukowanie kilku arkuszy, introligatorzy darmo zbroszowali, jedni papiernicy tylko kazali sobie za papier zapłacić i w ten sposób wezwanie „Na pomoc“ przyobiekło się w widoczną formę, a za dobrym przykładem wydawców i redakcyi tego pisma pójdzie publiczność, która dzieło uwieńczy jak największym dochodem.

Wszystko to bardzo piękne i pociągające, ale naprawia tylko złe chwilowo; najskuteczniejszym środkiem na przyszłość byłoby radykalne zarządzenie możliwym klęskom: a temu tylko podołać może skarb państwa i energia władzy; tylko zakończenie przewlekanej tak długo i odkładanej sprawy regulacji Wisły zdoła zapobiedz ponownym nieszczęściom.

Tam, gdzie, jak ktoś dowcipnie powiedział: — „Wisła dostała wały“, tam się nie ośmieliła wylać...

„Kurier Świąteczny“ pomieścił artykuł nadesłany rzekomo przez tę zbrodniarkę „bez poważania i szacunku Wisłę“, na którą syją się skargi i zarzuty, tej treści: „Proszę bardzo nie narzekać na mnie!... Jestem przecież tylko głupią rzeką i nie mam rozumu ludzkiego, więc cóż dziwnego, że jeżeli mądrzy ludzie nie chcą mnie uregulować, ja się sama reguluję, jak umiem“.

Ile wszelako jeszcze wody upłynie, a z nią ludzkiego mienia i życia, zanim ta sprawa stanie u swojego kresu, Bóg raczy wiedzieć — i komisya regulacyjna.

Kiedy się zważy, że straty w przybliżeniu obliczone po ostatniej powodzi tylko na gruntach włościańskich wynoszą około 3½ miliona rubli,

to procent od kapitału niewydanego na regulację wyda się olbrzymim.

I pomyśleć, że taką nawiązkę kraj będzie zmuszonym jeszcze płacić niejednokrotnie, jeżeli się brzegów nie opatrzy i nie zabezpieczy należyście, podobnie jak to zrobili Niemcy.

* * *

Głosy doświadczonych ludzi i higienistów przestrzegają wcześniej przed skutkami wylewu, zwłaszcza w porze tak niebezpiecznej i warunkach wyjątkowych.

Wiadomości o choleryce azjatyckiej przywiezionej z Tonkinu na wybrzeże francuskie i porywanej w Tulonie i Marsylii po kilka ofiar dziennie, musiały całkiem słusznie zaniepokoić Warszawę, która dla wszelkich epidemii jest najgłośniejszą stolicą przy swoich urządzeniach kanalizacyjnych i sanitarnych.

Na takim podatnym gruncie zarazki choleryczne rozwinąć-by się mogły przerażająco, a całe pobrzeże Wisły, namulone obecnie, zalane wodą zepsuta i wystawione na działanie lipcowego słońca — uledez-by musiało nowej klęsce, gdyby jej dobre losy i powinność ludzka nie zdołały powstrzymać u naszych progów.

Słuchajmyż przestróg i dobrych rad w porę, aby przy naszym rozumie, który po szkodzie zwykł się zjawiać dopiero, nie przyszło żałować i biadać poniewczasie.

Że strzeżonego, Pan Bog strzeże — powinniśmy w takich chwilach pamiętać i wystrzegać się wszystkiego, co złe skutki zdrowotne spowodować może, a co ważniejsza, przestrzegać innych i pilnować od nadużyć. Szczególniej po wsiach, panie nasze mają ten obowiązek czuwania nad czeladzią i nad ludem; dobrze robią, jeżeli „domowe apteczki“ zaopatrzą w najpotrzebniejsze środki, zalecane w bardzo praktycznym poradniku Nussbauma, wydanym właśnie nakładem Paprockiego i Spółki w Warszawie.

Na wszelki wypadek nie będą przynajmniej zaskoczeni znienacka.

* * *

Wobec tak poważnych dwóch tematów: jak powódź i cholera, chociaż jeszcze daleka od nas — wszystkie inne schodzą na dalszy plan i z kroniki bieżącej niema prawie nic wyjątkowego do zanotowania.

Po egzaminach i popisach publicznych, powtarzających się co rok z niezmiennym prawie charakterem, jak w instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych, Instytucie Muzycznym lub Osadach Rolnych — młodzież znika z bruku, aby używać wczasu i swobody na wakacjach.

Wyjątkowo niepomyślne rezultaty egzaminów szkolnych przy surowszej kontroli i wymogach nauczycielskich, zepsują humor wielu ojcom i matkom i zaprawią goryczą wakacyjne łakocie, ale na pocieszenie pozostanie myśl, że się cierpi w licznie towarzystwie i ma niemało towarzyszy niedoli.

Wspominaliśmy niejednokrotnie o unikaniu przez młodzież i jej kierowników lub wychowawców praktyczniejszych zawodów, i o szukaniu jedynego zapewnienia sobie przyszłości w szkołach gymnazyalnych i w patentach uniwersyteckich; wspomnijmy o pocieszającym objawie pewnego zwrotu w tej sprawie.

Oto ze sprawozdania rocznego Szkoły Rzemiosłowej przy ulicy Jasnej dowiadujemy się, iż napływ uczni i kandydatów wzrasta z każdym rokiem; w przeciągu lat pięciu istnienia szkoły, z funduszy obywatelskiej ofiarności pewnego grona ludzi najlepszych chęci dla kraju i społeczeństwa, ilość uczni prawie się potroiła, doszedłszy do 134.

Niestety, brak miejsca i środków pieniężnych nie pozwala na szerszy rozwój zakładu, którego pożyteczna działalność uznana została powszechnie. Jest nadzieja wszelako, iż Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, do licznych swoich

wniosek przyjmie i wniosek wspomagania rzeczony szkoły jakimś stałym zasiłkiem, a tym sposobem ułatwi jej zacząć a pożyteczną działalność około wychowania młodzieży i wykształcenia dzielnych rzemieślników, poza demoralizującą i trującą fizycznie i umysłowo atmosferą warsztatów i terminów.

* * *

Nekrologia ostatniego miesiąca powiększyła się o kilka nazwisk zasłużonych i aureolą talentu i sławy otoczonych; w sztuce straciliśmy Stanisława Chlebowskiego i Hipolita Lipińskiego; pierwszy był nadwornym malarzem sułtana Abdula Azisa i na Wschodzie pracował dla obcych galerii i mecenasów sztuki, wybierając przeważnie temata orientalne. Zmarł po powrocie do kraju, w Poznańskim, dotknięty pod koniec życia straszną chorobą umysłową.

Lipiński należał do rzędu najsympatyczniejszych malarzy scen i typów ludowych; jego „Targ na Kleparzu“ i „Za Szczepańską bramą“, albo „Przed processją Bożego Ciała“, odznaczały się taką swojskością, takim talentem spostrzegawczym, prawdą i naturą na gorącym uczynku schwytaną, że się trudno było oderwać od tych obrazów.

Umarł w kwiecie wieku w Krakowie.

Wreszcie w dalekim Kazaniu, oderwany dawno od kraju i swoich, zakończył życie znakomity uczony matematyk i astronom, professor tamtejszego uniwersytetu Maryan Kowalski.

Niech wszyscy oni spoczywają w pokoju i dobrej pamięci potomnych!

SEWERYNA

DUCHIŃSKA.

(Dokończenie).

Jak talent Duchieńskiej z każdym nowym dziełem się podnosi, tak działalność jej literacka zakres swój rozszerza. W 1856 r. bierze jakoby spadek myśli po Hoffmanowej i zaczyna wydawać dalszy ciąg jej *Rozrywek dla młodocianego wieku*, a ta publikacja, której w przeciągu lat pięciu (do 1860 r.) wyszło w trzech seryach tomów piętnaście, w znacznej części przez jej prace zapełnionych, stanowi jedną z wielkich zasług Duchieńskiej. Młodzież nie miała wtedy nic do czytania, a jednak czytać pragnęła; Duchieńska, o dobro nadrastającego pokolenia troskliwa, potrzebie tej zadosyć czyni z największą starannością o szlachetny, swojsko-obywatelski rzeczy kierunek, i rzeczywiście prowadzi dalej myśl Hoffmanowej. Jest tam i czytanie przyjemne, moralnie kształtujące, najlepsze uczucia rozwijające czytanie, i nauka już właściwa, bo wykład literatury polskiej wraz z historią, podzielony na czytania, możnaby powiedzieć „lekcye“ — zwięzłe, treściwie pisane. Do bardzo zajmujących rzeczy należy obszerny zyciorys Hoffmanowej i „Życie domowe w Ameryce“ pióra znakomitej powieściopisarki szwedzkiej, Fryderyki Bremer. Czytałam to, będąc już dorosłą kobietą, z przyjemnością wielką i dziś spotykając się z tem w wychodzącej obecnie, a nowymi utworami Duchieńskiej pomnożonej, czterotomowej seryi *Rozrywek*, z równą przyjemnością czytać-bym mogła. *Rozrywki* podając i wiadomości o rzeczach obcych, głównie przecież dają młodzieży zasmakować w rzeczach swoich, w czytaniu historycznym, a talent Duchieńskiej, podnoszący się ponad pióra, które u nas poświęcają się pisanii dla młodzieży, czyni z *Rozrywek* zbiór wielce cenny.

W tym samym czasie tłómaczy ona dzieło Eichhoffa: „Obraz literatury średniowiecznych ludów, a mianowicie Słowian i Niemców“, które znacznymi przypiskami opatruje. Kreśli następnie według Boldeniyego „Dzieje Węgier“, tłómaczy z angielskiego

skiego i niemieckiego kilka powieści, lecz oprócz tego pracowite jej pióro zwraca się do literatury ludowej i pisze, a tu znowu przewodniczy jej najczystsze uczucie obywatelskie—książki dla ludu wiejskiego—dla dziewcząt i kobiet, w Warszawie około 1861 r. wyszła, a pojęcie zasad ekonomicznych ciemnym umysłem w przystępny, miły sposób dające. Za to odbiera Duchńska podziękowanie zaszczytne.

Do pożytecznych i zawsze bardzo pięknym językiem, zawsze z wielką troskliwością o jego czystość dokonanych przekładów, Duchńskiej przybywa tłumaczenie dzieła Ventury o literaturze włoskiej, i wyjątki z pism Ozanama, ale te dwie prace wkraczają już w nowy okres jej życia i zarazem działalności literackiej. W 1863 r. wyjeżdża ona do Paryża, idzie tam powtórnie za męża i osiedla się na stałe, a teraz otwierają się jej horyzonty nowe, horyzonty dla myśli niezmiernie rozszerzone. Uczony mąż zbliża ją do ludzi uczonych, poznaje wiele znakomitości francuskich, między temi jest Henryk Martin, z którego przełożyła: „Vercingetorixa“ i „Joannę d'Arc“, dramata prozą, drukowane w „Bibliotece Warszawskiej“ i poprzedzone pięknie napisaną biografią ich autora, serdecznie nam życziwego. Uczone koło Francuzów, które Duchńska otacza, jest także całe nam życziwe, historycznym studiom oddane, a historia to dawna, dobra jej przyjaciółka i zwolna poetka staje się uczoną kobietą. Wiele się uczy, wiele studjuje sama, ale chce nawzajem uczyć, niewiadomości rozświecać. Możliwy powiedzieć, że to gorące, szlachetne uczucie, którem już zaznaczała się poetka jeszcze w kraju, miłość ziemi rodzinnej, popycha ją ku temu. Duchńska zaczyna pracować w kierunku etnograficznym, pisze w tym przedmiocie i, zyskując sobie nową a niepospolitą zasługę, znajduje zarazem wielkie uznanie w uczonym świecie francuskim. W 1867 roku zostaje członkiem *Etnograficznego i geograficznego towarzystwa* w Paryżu; przekłada na język francuski nasze pieśni ludowe i dostępuje tego, u obcych, u Francuzów zwłaszcza, niełatwo zdobywającego się uznania, że jeden z uczonych paryżkich, członek Akademii i zarazem Stowarzyszenia Etnograficznego, Emil Hervet, czyta na posiedzeniu tegoż towarzystwa w dniu 15 Marca 1869 r. studium swoje o jej pracach, co następnie jako broszura wychodzi i nazwisko Duchńskiej już w całym uczonym świecie Europy rozsławia. Prezydent Geograficznego Stowarzyszenia Włoskiego, Nigra, na posiedzeniu towarzystwa, w miesiącu Czerwcu wyżej wymienionego roku, zaleca Włochom poznanie etnograficznych prac Duchńskiej, a w niespełna rok potem, bo w Maju 1870 roku, czyni to samo sekretarz paryżkiego towarzystwa geograficznego, Cortambert, który podnosi to, rzadkie, zwłaszcza u kobiety, połączenie: poezji i badań naukowych. Leleweł był Francuzom znany i wysoce ceniony, jako człowiek i historyk; otóż poezye Duchńskiej niemogącym ich rozumieć zalecały się jednak niepospolicie przez zdanie o *Drużbackiej* Leleweł, który o tej poetycznej powieści napisał. „Urok tych wierszy przeniknął mnie i ten poemat stał mi się w moich cierpieniach pociechą“.

Duchńska niezmiernie łatwo tworząca i przytem pracowita, przełożyła jeszcze w tym okresie, który się od 1863 r. zaczyna: *Cyda*, poemat hiszpański; *Pieśń o Rolandzie*; *Kalewałę*, bohaterską epopeję Finnów; mnóstwo poezji z Wiktora Hugo i innych francuskich i węgierskich pisarzy—oprócz tego prozą: *Kobieta w Starożytnych Indyach* Klaryssy Bader; *Studia akademika francuskiego Viquesnel'a nad historią Sławian i ich sąsiadów Finnów i Turków* (z biografią autora), *studia Emila Chasle nad Cervantesem*; wyciągi z *Juliusza Cezara Napoleona III*,—a dodawszy jeszcze przekłady z Henryka Martina, wszystko to opatrzone obszernymi, naukowymi przypisami lub życiorysami autorów, tworzy ogrom pracy, do którego trzeba dodać to wszystko, co Duchńska o literaturze francuskiej, o życiu francuskim napisała w korespondencyach swoich, zwłaszcza w korespondencyach do „Biblioteki Warszawskiej“, której będąc stałą współpracownicą od początku swego literackiego zawodu, stała się następnie

korrespondentką z Francji pośmierci Zofii Węgierskiej.

Jest w tych korespondencyach przerwa jednego tylko miesiąca, gdy wzięcie Paryża przez Niemców przywiązana do Francuzów tak w serce boleśnie uderzyło, że pisać nie była zdolna.

Czas ten jednak nie został dla literatury jej kraju straconym, a raczej był dobrze dla niej pożytkującym, bo wtedy-to zebrała Duchńska ciekawe wiadomości, odnoszące się do pobytu Mickiewicza w Rzymie, 1830 r.

Silne i jak wiem, dotąd nieodjęte Francji, przywiązanie Duchńskiej nie każe jej przecież przez to uczucie sympatyj zaciskać się umysłem i zamykać oczu na kulturę niemiecką, na wspólnie zdobycze niemieckiego ducha w nauce i poezji. Oprócz wspomnianego, a z lat dawniejszych pochodzącego przekładu dzieła Eichhoffa, Duchńska przetłumaczyła w całości dramat Weillena: „Rosamunda“ i scen kilka z „Ottokara“, Grillparzera, niektóre piękne liryki Grüna i szlachetnego, wolnomysłnego poety, Kinkla.

Do ostatnich prac Duchńskiej należy odczyt o Janie Kochanowskim, mianu w Paryżu; poemat o tym wielkim poecie naszym, którego ustępy *Bluszcz* niedawno drukował, i dla młodzieży napisany, piękny szkic, który się w *Rozrywce* trzecim tomie mieści. Do europejskiej powszechności literackiej już należąca, przez lat dwadzieścia mieszkająca daleko, nietylko nie uroniła z miłości swej do rodzinnej strony, ale w niczem, w niczem śladów cudzoziemczyzny na niej nie znać i choć szeroko po świecie się rozgląda, jednak całym sercem żyje z nami i są chwile, których mimo żywej, wesołej swej natury, z cicha tęsknotą tego serca się zdradzi. Jednym takim westchnieniem wydzierającym jej się z piersi, są słowa rzewne:

„Ach! ja śpiewam gdzieś do cudzej grędy
[przytulona,
Ale tęskny dźwięk mej pieśni wśród przestrzeni
[ni kona;
Obce gwary ją przygłuszą, obce słońce spali,
Nim dobieży do Wiślanej, do Dnieprowej fali!
Czasem tylko gdzieś w przelocie na szerokim
[świecie,
Dusza spotka bratnią duszę, myśl się z myślą
[spiecie,
Taka chwila dla mnie biednej kropłą rosy świeżą,
Pod jej czarem dusza rośnie, skrzydła się roz-
[szerza.
Marya Ilnicka.

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Przyczyną było, że jej na myśl przyszło zwierzenie się hrabiemu Antoniego o pochodzeniu Horpińskiego i posądzenie go, że zechce teraz korzystać z upadku, aby sięgnąć po rękę Michaliny. Córkę tak wydać za mąż—było dla niej drugim, może jeszcze cięższym ciosem, niż pierwszy. Raz wbiwszy to sobie w głowę, iż Sylwan na swą korzyść obróci ich nieszczęście—nie mogła się już uspokoić.

Córka spostrzegła to jej nowe rozgorączkowanie.

Gdy doprowadziła matkę do sypialni, składając pocałunek na jej czole, z życzeniem dobrej nocy, dodała na ucho ze smutnym uśmiechem:

—Śpij spokojnie—mamusi—ani on się zenić ze mną, ani ja wychodzić za niego nie myślę.

Uścisnęły się w milczeniu.

Następnych dni parę przeszło w oczekiwaniu. Wojtek umyślnie spóźnił przybycie, dla uczynienia prawdopodobniejszym starania o fundusz potrzebny.

Tymczasem Sylwan miał sobie za obowiązek uprzedzić pracujących w officynach pp. Barańskiego i Pawłomorskiego, iż prawdopodobnie czynności ich wkrótce się skończą, gdyż długi spłacone zostaną.

Pawłomorski podniósł głowę; nerwowy tyk jego skrzywił mu pół twarzy.

—Co pan sobie marzy!—odparł.—Niby to my nie znamy naszych kapitalistów, stosunków, kredytu i t. d!

Kto tu da pieniądze!

Barański najmocniej potwierdzał aforyzm kolegi.

—Ale ja mówię na pewno—odpowiedział Sylwan—bo pieniądze już są znalezione.

—Na jakich warunkach? to sek! *zakładna?* a jaki procent? he! To się nazywa, nie ratować, ale dorzynać.

—Bądź pan spokojnym—dodał Horpiński.—Pieniądze dostaliśmy bez *zakładnej* i na mały procent.

—To waryat je dał chyba!—zawołał Barański.

Rozśmiał się Horpiński.

Na urzędnikach widać było wzruszenie wielkie. Gniew ich spadł, naturalnie, na Sylwana, który im długą i korzystną robotę z rąk wydierał.

Pawłomorski odezwał się proroczo, papierami bijąc o stół:

—Zobaczy pan! zobaczy! jak się to smutnie skończy! Teraz można było choć folwarków parę z długiem bankowym, a może *fundum*, ocalić; potem pójdzie wszystko—i ani okruszyna nie zostanie.

Ubawiwszy się trochę złym humorem obu tych panów, pożegnał ich Sylwan, zostawując po sobie jaknajgorszą u nich opinią. Posądzano go o niestworzone rzeczy; a ponieważ życie na koscie Zawierskich niedługo już trwać obiecywało, Pawłomorski więc postanowił i samemu sobie i radzcy niczego nie żałować.

Wojtek nadjechał wreszcie, a nim się paniom przedstawił, wziął go na stronę Sylwan i nauczył, jak się miał znaleźć.

Dobroduszny i trochę ociężały swem szczęściem. Wierzbietą, zadowolony, zardzewiały, podobał się tym paniom, jako nieco odmienny typ od tych, które w mieście spotykały. Wydał się im sympatycznym.

Zawierską ujmowało to, że ciągle mówił o swej Tereni, o swej faworytce, o szczęściu—i że dobre jego serce w każdym się odbijało słowie.

Komedyą, w której mu rola pocziwego kłamcy przypadła—odegrał Wojtek bardzo trafnie i z talentem.

Dowiódł Zawierskiej, że obowiązkiem było obywatalskim ratować się wzajemnie, że pieniądze szlachta miała podostatkiem, że znaleźć je przyszło nadzwyczaj łatwo.

Nieufna ciągle, biedna matka powoli dała się przekonać i odetchnęła swobodniej; Misia zaś, która wprzód wcale nie podejrzewała Sylwana, teraz, niewiedząc dlaczego, słuchając Wierzbiety, przypatrując mu się, powzięła myśl, że to było sprawą Horpińskiego.

Przekonanie to coraz mocniej się utwierdzało, gdy później Wojtkę sama wzięła na badanie troskliwe i zręczne. Wierzbietą się nie zdradził, lecz bystrzejszego wejrzenia panny ujść nie mógł.

Teraz panna Michalina posmutniała. Powiedziawszy sobie, że ten przyjaciel gotów był cały swój byt dla nich poświęcić tajemnie (sądziła go zdolnym do tego)—zachwiała się: czy godziło się im przyjąć ofiarę i rozmyślną ślepotą przyjęcie to osłonić?

Naciskany pytaniami z różnych stron zabiega-

jącami — Wierzbietą, choć się zręcznie wykrecał, okazał pewne słabe strony zmyślonej bajki.

Mógł nią złudzić matkę, ale p. Michalina widziała głębiej i jaśniej. Podziękowano najserdeczniej Wierzbiecie, i obie panie, żegnając go, zapowiedziały odwiedzić swe w Makolągwie. Wojtek się spierał o to, że mu wprzód zionę tu przywieźć wypadało; zgodzono się wreszcie.

Horpiński, dokonawszy, co postanowił, dłużej turbować się nie myślał. Wiele bardzo ważnych pobudek ztąd go wypędzalo. Nie chciał się nadto zasiadywać przy pannie Michalinie, aby potem na rozstaniu z nią nie cierpieć; potrzebował powracać do matki i obmyśleć przyszłość, którą nagle teraz zupełnie inną mieć chciał.

Należało sprzedać Rusinowy Dwór, wyszukać kawałek ziemi na Ukrainie, przenieść się tam i zniknąć zupełnie ze świata, utonąć w nieznanym tłumie.

Mężnie do tego samobójstwa przystępował Sylwan, a niemniej wiedział, jak srogimi je męczarniami opłacić będzie musiał.

Rozstając się z p. Michaliną, przeczuwał, iż nigdy więcej jej nie zobaczy. Zaklął Wojtkę, aby opiekę interessów wziął na siebie — a sam chciał się co najprędzej oddalić.

Ostatniego wieczora siedzieli w ganku sami. Zawierska tuż u drzwi w salonie, zadumana i wzduchająca, rozmyślała i gryzła się — ciągłymi obawami, które ją napastowały.

I p. Michalina nie w najlepszym była humorze. — Dlaczego się pan tak śpieszysz? — zapytała, wlepiając w niego oczy.

— Muszę — muszę jechać — odparł Horpiński. Są interessa, są pewne zobowiązania.

— A kiedyż się widzieć będziemy? — mówiła dalej Misia. — Do Warszawy na zimę nie pojedziemy — jest to wprost niepodobieństwem. Mama nawet to widzi, ja ani myślę. Musimy siedzieć na wsi — a co do mnie, skarżyć się na to nie będę. Przyjedziesz pan do nas? Byłaby to ofiara z jego strony? nie śmiem ani prosić o nią, ani się jej spodziewać.

Horpiński spuścił oczy.

— Nie potrzebuję mówić nawet, jakby miło mi było służyć paniom — rzekł — ale człowiek często jest niewolnikiem.... Będę się starał.

Co do interessów, niech pani wierzy, że Wojtek mnie stokroć lepiej zastąpi, niż się zdaje.

— Al' wolę nie myśleć o interessach — odparła Misia. — Najszczęśliwszym jest człowiek, co ich nie ma i myśleć o nich nie potrzebuje. Ale pan, bez pochlebstwa, należysz do tych ludzi, za którymi się tęskni, do których się przywiązuje i których nie zastąpi.

Zarumienił się Horpiński i zamilkł, zmieszany.

— Umiem być wdzięcznym, za tak pochlebne wyrazy — rzekł po chwili — ale chyba dobre moje chęci tylko i szczerze przywiązanie do ich domu — mówi za mną. Zresztą czuję się stworzeniem najnieużyteczniejszym na świecie i niedołącznym. Chęci mam najlepsze — ale na tem koniec.

— Jak pan to mówić możesz? — oburzyła się p. Michalina — kiedy my winniśmy mu ratunek? Sądzi pan, że ja tego nie rozumiem i nie widzę? Wszystko co się stało, pan jeden, i to w sposób dla mnie niepojęty, dokonałeś.

Nie przerywaj mi pan, nie zaprzeczaj — ja to czuję.

Powiem więcej — wiem, że musiałeś wielką jakąś ofiarą okupić to dzieło wybawienia, do którego się nawet przyznać nie chcesz.

Zmieszany, Horpiński poruszał ramionami i bełkotał — że nic nie rozumie.

— Serca mojego szukać niepodobna! — dodała Misia cicho — jest ono pełne wdzięczności dla niego!

Sylwan wyprysnął się, strwożony, iż nie nie uczynił. Michalina śmiała się szydersko.

— Nie wiem ani szczegółów, ani sposobu, jakim pan to potrafiłeś wykonać — rzekła — ale najpewniejszą jestem — że jemu —śmy winne wszystko — nawet może życie matki mojej, o które się lękałam. Wprawdzie powoli powraca jej spokój

i zdrowie — ale ja już nie rozpaczam, że ją ocalić potrafię.

Sylwan chciał przerwać, aby rozmowę zmienić, ale mu Michalina nie dała.

— Pozwól mi pan dziś być despotyczną — rzekła Michalina. — Jedziesz pan, chcesz się oddalić, masz interessa: wszystko to dobrze; ale ja potrzebuję mieć pewność, że się zobaczymy!

— Gdy mi pani każesz przybyć?... — zamruczał Sylwan.

— Rozkazywać nie mam prawa, ale prosić dozwala przyjaźń i teraźniejsze położenie moje. — dodała Misia. — Znasz pan mnie: jestem marzycielką trochę, potrzebuję kogoś, abym z nim myśli wymieniała — któryby mnie do życia rozbudzał. Nie mam najmniejszej ochoty zamrzeć i zardzewieć — chcę żyć!

Obejrzyj — że się pan po okolicy!

Najzacniejszy pański Wojtek, gdy nie mówi o Tereni i o Emilce — milczy.

Nasz ksiądz dziekan i prałat nie wychodzi z katechizmu i wspomnień przeszłości. Inni sąsiedzi nawykli mówić o urodzajach i o polityce. Z kimże ja tu będę mogła o sztuce, o wszystkich wielkich czasach naszego kwestyach słowo zamienić? od kogo się coś dowiedzieć? kto mi wątpliwość wyjaśni?

Niczego się tak nie lękam, jak tego, żebym nie zasnęła i nie zdretniała — ograniczając się życiem wegetacyjnem. Lepiej już umrzeć!

Mówiąc to — westchnęła.

— Kto wie — szepnął Sylwan — czy to życie gorączkowe we spółce ze światem nie jest większą męczarnią niż rozkosz? Najszczęśliwsi podobno są ci, co bezmyślnie pracują.

— I pan chcesz mnie taką widzieć? — zapytała Michalina.

— Nie, boś pani nie jest stworzoną do tego rodzaju żywota, a kto raz innego zakosztował, ten do pierwotnego, prostego, powrócić już nie może.

— A zatem — wtrąciła Misia, — obowiązkiem przyjaciela jest — nie dać się męczyć biednej, takiej jak ja, wygnance.

— Która będzie miała książki, pisma — wszystko, co życie przynosi — dodał Sylwan.

— Sądzi pan, że martwą literą bez żywego słowa żyć można? — podchwyciła Misia. — Mnie przynajmniej to słowo jest konieczne potrzebne. Zróbmy nietrafne porównanie — książka być może chlebem, słowo żywe wodą, lub przeciwnie, ale obojga życie wymaga?

Zatem — mówiła, nie dając sobie przerywać — zatem potrzebuję pana, abym nie zamarła tu na wsi, i będę się spodziewała, że nas odwiedzi. Wstała potem i zakończyła:

— Ani słowa więcej — wiem, że mi nie odmówisz.

Horpiński się skłonił. Zawierska, która niemniej uznawała zasługę wielką jego, zapewniała o wdzięczności, lecz zbyt nagłą nie była, w zapraszaniu do Zaborowa. Trwoga o to, aby się zbyt do Michaliny nie zbliżył, przekonanie, że pomiędzy nią a Horpińskim było już coś więcej niż przyjaźń, nie dawały jej spoczynku.

— Jedynym ratunkiem — mówiła w duchu — rozdzielić ich nadług, a Misi znaleźć kogoś, coby się jej potrafił podobać i — był partą przyzwolitą. Michalina jest nim zajęta — nie mogę mu zarzucić tego, aby się o to starał, okazuje się zimnym, trzyma w pewnym oddaleniu — ale — kocha się za pamiętając!

Po tym wieczorze pamiętnym dla Horpińskiego, który się długo przeciągał, pożegnał on obie panie, a nazajutrz rano był już na drodze do Makolągwy, aby raz jeszcze Wojtkę uściskać, dać mu instrukcje i pożegnać.

A potem? potem miało się stać, czego Sylwan nie chciał badać głębiej, ani przewidywać.

Rozstanie było obowiązkiem. Słabość wydawała się nikczemnym egoizmem.

Wojtek oczekiwał na przyjaciela.

Spostrzegł na jego twarzy głęboki, trawiący smutek i łatwo odgadł, co go sprowadziło.

Pocziwie jego serce, choć potakiwało Sylwanowi, gdy mówił o konieczności poświęcenia się,

snuło potajemnie wcale inne plany przyszłości. Wojtek, nie zdradzając się z tem, miał niezmiennie postanowienie połączenia tej pary, która mu się zdawała dla siebie przeznaczoną i stworzoną.

Tymczasem Sylwan wręcz mu oświadczył, że — powrócić już tu nie myśli i jedzie przygotować matkę do opuszczenia Rusinowego Dworu, a wyniesienia się na Ukrainę.

— Dobrze, dobrze — rzekł Wojtek — tylko nie zbyt się śpiesz. Ja potrzebuję nie raz jeszcze się z tobą naradzić. Nagle tak zerwać z Zawierskimi — będzie miało znaczenie dziwne. Sam się zdradzi. Proszę cię — powoli. Być bardzo może, iż ja się z tobą będę musiał widzieć, bo na zbyt nie ufam sobie.

Horpiński ani przyrzekał ani odmawiał, ale się można było domyśleć, że niewzruszenie trwał przy swoim postanowieniu.

Gdy się pożegnali z panią, która niebardzo przyjaciela męża polubiła, Wojtek odprowadził go naprzód do ganku, potem wziął czapeczkę i poszedł z nim do wrót. Tu stali chwilę. Wierzbietą chciał jeszcze kawałek groblą iść z przyjaciелеm pieszo, do mostku. U mostku już się byli pożegnali, gdy Wojtek, obejrawszy się dokoła, zapragnął iść do lasu. Pora była piękna, a po drodze chciał spojrzeć na pola.

Rozstać się z Sylwanem było mu trudno, miał jakieś smutne przecucie, że go tu później ścignąć nie będzie łatwo. Horpiński milczał posępny.

— Mój Wojtku — rzekł w końcu — za to coś uczynił dla mnie, jestem ci z duszy wdzięcznym, ale na tem nie dosyć. Nie wiem, co się ze mną stanie, oddaję ci w opiekę te panie. Musisz mnie zastąpić. Pamiętaj!

Uściskali się raz jeszcze, Sylwan siadł na bryczkę, podali sobie ręce, a Wojtek z głową spuszczoną powrócił do domu.

W Rusinowym Dworze, ilorazy tu przybywał Sylwan, z nim razem życie i ruch przychodziły. Parobcy poruszali się ochoczo; Tatiana odzyskiwała siły, biegała i krzyczała. Pynia się stroiła i wydawała rozkazy w imieniu starej, a stara nawet czuła się przy synu inną.

Naostatek psy podwórzowe zdawały się też rozochoczone przybyciem pana i ujadły niespokojnie, podbiegając ku wrotom. Rozpocynały się dni jakby świąteczne; gotowano więcej i misy były pełniejsze — nie żałowano nabiału ani słoniny — parobkom dostawało się więcej wódki; obrus, którym stół był nakryty, zmieniano częściej, a ziemię palono lepiej w piecach, aby Sylwan nie ział.

On zwykle wesołości tu z sobą nie przynosił, przyjeżdżał smutny, lecz z czasem oswajał się z tym bytem i do jego nawyknień stosował.

Właśnie teraz, gdy Horpyna miała najmocniejsze postanowienie nakłaniać syna, aby już chłopstwa swojego się wyrzekł — zapadł z wiadomych przyczyn w Horpińskim wyrok na siebie wydany: wyniesienia się na Ukrainę i zerwania z tem społeczeństwem, w którym nigdy stanowiska wybitniejszego pozyskać nie mógł.

Sylwan jechał z tem do matki, która go czekała z przeciwnym właśnie zdaniem.

Lecz pierwszych parę dni upłynęło, a nie mówiono o niczem jaśniej; Horpyna napomykała tylko o tem, że Sylwan jest podobny twarzą i temperamentem do ojca, aby poszedł za jego rozkazami.

Nie odpowiadał na to syn, i dopiero w tydzień po przybyciu, dobrawszy chwilę, gdy nieznośny szpieg, podsłuchująca Pynia, zasnęła zmęczona w alkierzu, — odezwał się do matki:

— No, a coby to było, gdybyśmy wszyscy, jak jesteśmy, powrócili na Ukrainę? Kawał ziemi tam nabyć teraz nie trudno. Tam-by wam, matko, lżej oddychać było, ja-by ci gospodarzył stale, nieodrywając się do miasta, życie dla was znośniejszem-by się stało.

Słyszając to, Horpyna, chodząca po izbie — stanęła nagle.

— Co się tobie w głowie przewróciło! — zawołała. — Zartujesz chyba ze starej matki.

— Nie ważyłbym się — odparł Sylwan. — Nim powiedziałem to, długom rozmyślał i dumał: co lepiej? Otóż, zdaje mi się, dla was, dla mnie, nie ma spokoju jeno tam. My tu zawsze obcy; tam na nas nikt patrzeć nie będzie.

Chutor kupić znajdzie się za co.

Dziwne zmiany przechodziły po twarzy starej, gdy syna słuchała, uszom niedowierzając.

— Co tobie? Sylwan? Co tobie? — poczęła. — Kto ci tę myśl podał? Jak to może być? Chcesz dla mnie sieroty uczynić coś, widząc, jak mi życie dźwigać ciężko; ale ja na tym świecie nie wieczna. — o mnie nie idzie, tylko o ciebie.

Ty chłopem już być nie potrafisz, a zaprząglszy się do tego pług, umrzesz w jarzmie, do którego kark nienależany.

Myślisz, że ja na to pozwolę, abys ty się zarząd dla mnie!

O! nie, nie było tego i nie będzie — gołąbku mój! Jakaby ze mnie matka była, gdybym dziecku pozwoliła zmarnieć, aby mi cieplej było umierać! Ty mnie nie znasz!

Słyszałeś narzekającą często! Oo! tak — i tęsknię i płaczę i w sobie jęku nie umiem strzymać; ale dlatego ja nie taka zła, jak myślisz. Co moja dola przy twojej!

Przyszła go pocałować w głowę. Sylwan poczekał chwilę i mówił dalej:

— Mówicie, ratuniu, że ja was nie znam: otóż ja powiedzieć muszę: wy też syna nie znacie.

Do ojcam podobny, alem twojem też dzieckiem. Jegom prawie nie znał, a z tobą żył. Mnie też za Ukrainą tylko i kozacka krew się w moich żyłach odzywa.

Na co darmo sobie to farbować, co się nie da przerobić. — Ja im zawsze będę obcy, oni mnie. Nie wiedzą, kto jestem, ale czują, że nie ich. Ja chwilami nienawiść mam do nich. Kłamstwem i podstępem wcisnąć się — nie potrafię. Wolę żyć i umierać, jak prosty parobek. Będzie mi lepiej!

— Kłamiesz sobie i mnie! — przerwała Horpyna — jam stara, ludzi znam, nawskróś czasem przenikam duszę twoją. Nie chcę, abys marnie tak żył. Wyżyjesz miesiąc, dwa, choćby cztery z nami; ale całe życie — nigdy! Odezwie się żal, będziesz nieszczęśliwy. Mnie na świecie zabraknie: co poczniesz wówczas?

Sylwan milczał.

— Z chłopką się nie ożenisz? — dodała.

— Bo ja się wcale żenić nie myślę z nikim — rzekł Sylwan. — Po co! Widziałas, że siwieję — stary jestem.

— Jaki ty stary? — rozśmiała się Horpyna. — Tobie troska włosy pobielila, a nie wiek. Gdyby ci lepiej było na świecie, wieku-byś nie czuł.

— A no, posłuchajcie mnie — przerwał Horpiński. — Chcę pojechać na Ukrainę, poszukam chutoru w wąwozie, przy strumieniu, z sadem, z pasieką, z polem dobrem. Sprzedamy to dworzyśko dolicha, wyniesiemy się wszyscy, zatrzemy ślady za sobą. Pocznijmy życie nowe. Zobaczysz: ty odżyjesz, usta ci się zaśmieją, serce uderzy.

Stara gwałtownie głową wahać zaczęła i ręce łamać.

— Myślisz, że ja-bym tam żyć mogła, zakrzyknęła, gdzie każdego ziela zapach młodość-by mi przypominał, gdzie każde drzewo-by gadało do mnie o tem, co było, a nie powróci? Tobie się zdaje, że mnie-by lżej było? a to-by znaczyło wstąpić do grobu i w mogile chcieć kaszę gotować i gospodarzyć!

Ja tu nie nie widzę — zapominam — z tem mi lepiej.

Zaczęła się przechadzać gwałtownie, a Horpiński, niechcąc nalegać na nią i obiecując sobie później podjąć przerwana rozmowę, w milczeniu powiedziały jej dobranoc i poszedł do siebie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOBIETA W ANGLII.

(Dokończenie)

Są wyrazy — pisze M-rs Linn Linton — nietylko określające, ile poddające umysłowi to, co przedstawiać mają: wyrazy, których filozoficzność polega właśnie na tej rozciągłości i ich elastyczności, przez którą umysł grupuje sobie w koło nich mnóstwo pojęć i wyobrażeń różnorodnych. Jednym z takich wyrazów jest: „kobiecość”. Gra tu wiele więcej światła i cieni, przedstawia się wiele więcej stron rozmaitych, niż w odpowiadającym mu wyrazie: „mężkość”, bo też treść tego, co ma determinować, jest niezmiernie delikatną i subtelną. Nazywamy kobiecością łagodne poddanie się sile mocniejszego; nazywamy kobiecością opiekunkę, czuwanie nad słabością, nad niemocą, która sobie radzić nie może. Wiemy, co to jest zawód siostry miłosierdzia: wiemy że to najpierw pokonanie zwyciężki wstrętu, który nas odpycha od widoku, od zetknięcia się z ranami, z chorobami bolesnymi, i następnie to trudy ogromne, ofiarnościę wytrwałą, przy której trzeba jej być niemal nadludzką mocną; a przecież uważamy to wszystko razem za zdolność kobiecości tak wyłączną, że według zdania ogółu, nigdy mężczyzna zastąpić tu kobiety nie może, nigdy z równą doskonałością miłosiernej służby w społeczeństwie spełnić nie potrafi, i czynimy z tego kobiecie jej misją. Z drugiej strony uważamy również za kobiecość roztoczenie wdzięku, wesołości; umilanie, zdobienie życia ludziom, odsuwanie na bok tego, co jest grubem, ostrem, przykro przez brzydotę raziącym, zalicza się zawsze i wszędzie na dział kobiecości. Kobieta jest wtedy doskonale kobietą, gdy dostojności swojej z dumą strzeże, gdy nie wychodzi na przód, ale poszukiwać się każe, jak naodwrot jest to kobiecością, aby najtkliwiej miłości swą zaznaczać, aby być przebaczącą, kochającą aż do zaparcia się siebie, aż do pokory.

„Znosić swój los ulegle i w milczeniu, a jednak w danej chwili działać z energią i poświęcać się mężnie; zmywać osobistość swoją i naraz wysuwać się na czoło wypadków — to wszystko tak charakteryzuje kobiecość, jak ta zdolność, aby być razem praktyczną i idealną: gospodynią, która w domu chleb rozdziela i kapłanką w świątyni, która rękę na urnie trzyma...” dodaje autorka angielska. Kobiecość zdaje się też określać jakieś pokrewieństwo kobiety z Proteuszem, a jednak jest to pozór jedynie, bo kobiecość to razem znaczy tylko uczuciowość — wielką, niewyczerpaną nad wszelkie względy świata podnoszącą się uczuciowość: ztąd musi to być raz siła i męztwo, wytrwałość i energia niespożyta, drugi raz znowu uległość, tklliwość, słodycz, łagodność, w miarę jak tego potrzeba dla ukochań kobiety, dla własnego jej szczęścia nawet, bo i to jest jedną z cech kobiecości, że jej ofiary miłosne ofiarami nie są, że poją rozkosz tę, która je spełnia, i wiele natur kobiecych żyje niemi do tego stopnia, że życie kończy się naraz, gdy przedmiotu tych ofiar nie stanie.

Angielka ostrzega jednak, że nie należy to bynajmniej do przymiotów kobiecości, aby uczucie przechodziło w poniżającą słabość, która się z godnością osobistą sprzecza i pozwala się deptać, poniżać bezkarnie. Tam, gdzie się duchowa dostojność człowieka kończy, zaczyna się tylko niemoc moralna i następuje upadek. Miłość słaba, poświęcenie się dla przedmiotu niegodnego, ani zasługi nie skarbi, ani szacunek nie zyskuje a wiemy wszyscy, że to właśnie jest doskonałej kobiecości cechą, aby przez wybór serca miłość jej dostawała się tylko doskonałej mękości, która zawierać musi w sobie dzielność, podniosłość, wspaniałość i te wszystkie znamiona rycerskości, według których nigdy miłość i tklliwość kobiety grubiańskiem lekceważeniem odpłacana nie bywa. Przecież dawniej lepiej pod tym względem bywało — czyni pesymistyczną uwagę Angielka. Kobieta trzymająca się w naturalnych granicach kobiecości: skromna, wstydliva,

na wiele rzeczy instynktownie lekliwa, była przez mężczyznę więcej — jeżeli nie powiemy już — szanowana, to delikatniej oszczędzana. Póki kobieta nie udawała sceptycyzmu, czy sceptyczną nie była, póki nie sztydziła z uczucia, nie pozostawała na lekceważenie miłości, póki język angielski nie dostał wyrazu: „flirtation”, to jest żartobliwego kokietowania bez celu i konsekwencji, dowcipnego drażnienia się: jak gdyby pół romanisu, który do niczego nie obowiązuję, a jest jedynie taką zabawką, jak partya w krokieta, póty kobieta nie była tak często narażoną na to — aby służyła za igraszkę, aby była przedmiotem chwilowego upodobania. Dziś już mężczyzna nie wierzy tak w delikatność kobiecego uczucia, w głębokość jego i siłę, jak wierzył dawniej — wtedy, gdy kobieta przedstawiała mu się jako tklliwość i wstydlliwość razem ze sobą złączone, gdy te dwa przymioty, jak to zwano wówczas, były uważane za kobiecość.

Jest bardzo wiele takich *przesądów* przeszłości, pisze M-rs Linn Linton, — wiele rzeczy, które w dawnym pojęciu samej kobiety stanowiły część niepodzielną kobiecości, a która dzisiejsza zgola za takie nie uznaje. Instynktowna czułość kobiety dla dziecka należała do tego, budziła się ona już w sercu dziewczęcia, a potęgowała w kobiecie. Rozkosz i duma matki młodej, gdy piastowała dzieciątko swoje; uczucie godności złączone w jej pojęciu z macierzyństwem — wszystko to kobiecością było. Kobiecością było, aby matka zapomniiała o sobie dla dziecka, aby mieściła w dziecku, w jego szczęściu szczęście swoje, aby dziecko było życia matki błogosławieństwem i dumą, koroną jej głowy. Za niekobiecość, za wyrodzenie się z natury kobiecej uważano ten chłód w sercu matki, któryby jej kazał, któryby jej pozwalał zdawać dziecko na ręce płatnych wychowawczyń. Jeżeli to uczyniła która, to już sądzono ją jako lichą i lekkomyślną istotę i zwykle też czyniła to tylko pod siłą jakiejś namietności i błędu: czy była zalotnicą i płocho za zabawami szalejącą, czy ambitnie chciała panować w świecie. Dziś przecież w stanach jakotako zamożnych, odbywa się to na szeroką skalę: nianki, bony i nauczycielki — wyręczają matkę, która tylko tyle czyni, że je pieniędzmi zapracowanymi przez męża opłaca i do pewnego stopnia kontroluje, aby dziecku fizycznie krzywda się nie działa. Pozbawienie ich macierzyńskiego wychowania nie mieści się w kategorii krzywd.

Za kobiecość uważano też dawniej skromność mężatki do siwego włosa; kobiecość zawierała się w dumie tej kobiety uczciwej, która o niunczciwych w obecności swej mówić nie pozwalała. Nie brak wiedzy treści skromności stanowi, ale wstręt do rzeczy nieskromnych, i to, co Angielka pisze w tym przedmiocie, nazywając skromność już mężatki, już matrony, dziewictwem ducha, w szczególny sposób przypomina wiersz Krasńskiego: „Nie być, lecz wyrość trzeba na dziewicę!”... Ale wróćmy do tego jeszcze, bo autorka rozwijając dalej tę tezę, cały osobny rozdział w książce swej pisze.

Zamiłowanie domu, zamiłowanie spokojnego życia w rodzinnem kole, zalicza ona z kolei do przymiotów dobrą kobiecość cechujących, i uważa za jedną z najpierwszych, zasadniczych cnót mężatki, aby takie usposobienie wyrobić w sobie umiała. Mężczyzna potrzebuje, mężczyzna musi torować sobie drogę środkiem ludzi; musi spotykać na niej współzawodników, często nieprzyjaciół, i ściera się on z niemi nierzadko, walczy — w interesie swoim i rodziny, w interesie wielkich spraw publicznych męczy się, niepokoi, utrudza i udręcza, a nieraz psuje: sercem kamienieje, w zapasach ambicji, w ubieganiu się o korzyści materialnych zysków, uczy się być surowym, niemilosierdnym, szlachetniejsze porywy młodości ztraca. Jednym z warunków koniecznych potrzebnych, aby szala nie przeważała się na złą stronę, jest dla mężczyzny takie ognisko domowe, gdzieby, nietylko znajdował należny mu spokój i wypoczynek, wygodę dla duszy i ciała, ale gdzieby się duchem odświeżał, oczyszczał, gdzieby się spotykał z wpływami, jakie dobra i kochająca kobieta wywiera, gdy kocha tklawie, a szczęście i dobrobyt ukochanego ma przeważnie na widoku. Niech

tylko mężczyzna nie pożałuje nigdy tego trudu, tej pracy swojej, którą dla utrzymania ogniska domowegołoży: tych, nie tylko materialnych, ale i moralnych zasobów swoich, które na korzyść domu i rodziny oddaje, a już rzecz ta sama przez siebie się dokonywa; lecz potrzeba na to niezbędnie—niezbędnie, aby kobieta sercem swym w domu żyła, aby przestała być tak zwaną: kobietą światową.

Ta, która dużo bywa, która dużo gości przyjmuje, nawet przy największym majątku już nie może tego dobrze spełnić. a średnio zamożna nie może spełnić wcale. Dwóm bogom nigdy się dobrze nie służy. Mąż, który po za domem ma ludzi dosyć, marszczy brwi, gdy wracając do domu, żonę w salonie między gośćmi spotyka—gdy spotyka się z nieustannym przychodzeniem i odchodzeniem obojętnych mu osób, z częstą gadaniną, a choćby z dowiecipną rozmową, w której żona jego otrzymuje palmę zwycięstwa. Szczególniej przyjmowanie liczne mężczyzn, to adorowanie przez nich mężatki, która sobie z tego chlubić czyni, że ma ich orszak liczny — uważa M-rs Linn Linton za najgorszą dzisiejszych obyczajów cechę. Angielka przyjęła to od Francuzki — pisze. Dawniej w domach angielskich tylko panna była otaczana w ten sposób; mężatka miała życzliwych sobie i przyjaznych, ale nie miała wielbicieli: na balach i zebraniach panny, a nie mężatki, zabierały pierwsze miejsca.

To też dom staje się coraz mniej miejscem odpoczynku, miejscem słodkiego czasu dla męża, w którym żona nie czeka go już u progu z pocałunkiem rozkosznym. Goście — świat tak wiele miejsca w jej myślach zajmują, że mąż co najwięcej już, jeżeli połowę ich dostaje. Może mieć nawet wygodę fizyczną, jeżeli kobieta jest czynna i energiczna, ale nie dostaje tego słodkiego, rozkosznego dobrobytu dla serca, dla duszy swojej, jaki miał dawniej, gdy dom ogarniał niejako całą moralną istotę kobiety, gdy dom był polem głównym jej życia, jej troski, a mąż jedynym człowiekiem, dla którego piękną i pełną być pragnęła. Nie znaczyło to, aby nie miała być przyjemną i miłą dla ludzi innych, aby życie towarzyskie nie istniało dla niej, aby sąsiedzi, znajomi i przyjaciele nie znajdowali w niej uprzejmej i ponętnej gospodyni; ale gdy ci goście pożegnali gospodarzy, ona — najprzyjemniej i najszczerzej bawiąca się z nimi przed chwilą, przytulała się z czułością do piersi męzowskiej a oczy jej i usta mówiły wtedy: — Jak nam dobrze tak razem — we dwoje...

Wtedy-to kluby nie były wypełnione, wtedy nie było nawet takich, jak dziś klubów; żony nie skarżyły się, że są opuszczone, i nie były opuszczone, chyba już przez najgorszych, przez zupełnie złych mężów, którzy istnieli i istnieć muszą zawsze. Ale nie było to jak dziś, prawie zwyczajem i obyczajem, a żona osamotniona — nie był to — legion. Wszakże i dziś ci mężowie, co zalegają wieczorami kluby, teatru i inne miejsca publicznego zebrania, nie idą tam dla tego, co by żony ich mogły nazwać „niewiernością“; niekiedy wprawdzie przychodzi tu i niewierność, ale to już następstwo, to już skutek położenia. Stokrotnie możnaby słyszeć w rozmaitych miejscach zebranych rozmowę taką: — A... jak się masz? Jesteś tu... a gdzież żona? — Żona w domu, ale nie nudzi się — ma gości.

Mąż, który naodwrot nie nudziłby się w domu, gdyby nie było tam gości, wymawia to zawsze z pewnym uczuciem goryczy. Z początku, gdy spostrzegł, że nie jest dla żony: „jej światem“, odczuwał to boleśnie, teraz jest to już tylko gorycz taka, która tworzy cyników. Mężowie żon światowych, żon uwielbianych, sztydzą zawsze najzjadliwiej z uczuciowości kobiecej, z głębokości kobiecego serca. Ci nie nazwą sobie kobiecości tklivością i poświęceniem; zapytani: co to jest kobieta? — nie powiedzą, że to anioł domowego ogniska. Nie... uśmiechną się i, zapożyczając się w stylu u Shakespeare'a, rzekną: „Kobietol... twoje imię — zabawa!“

Kobieta lubi się ubrać i podobać; jest to jednak u dobrej kobiety, nie próżność i nie lekkosć, lecz pragnienie wdzięku dla oczów ukochanego. Lenartowicz doskonale to maluje, gdy kładzie w usta zakochanej, że „ukradłaby słonko na rozświecie“

dla przystroju piękności swojej. Kobieta może instynktownie chce być piękną od lat dziewczęcych; przecież M-rs Linn Linton ma słusność najzupełniejszą, że próżność i kokieteria nie jest kobiecością, — ale przeciwnie wyrodzeniem się kobiecości, gdy tworzy z niej elegancję, strojnację, zalotnie do wszystkich uśmiechniętą. Kobieta, gdy raz pokocha, pragnie być piękną dla jednego tylko, — o nim myśli jedynie, gdy przed zwierciadłem stoi. Mogłoby to być kamieniem próbierczym miłości, lecz bywa, że kobieta dla pozyskania miłości jednego, chce rozgłosu urody, chce podbudzenia jego uczucia przez podobanie się innym: gra to niebezpieczna, w której kobieta może stracić wszystko, aż do dobrego imienia, a zawsze tortura okrutna, gdy kochająca do takiego środka uciekać się musi — zawsze prawie bezużyteczna.

M-rs Linn Linton dowodzi, że kobieta dawniejsza nie tak prędko się starzała, nie tylko z tej przyczyny fizycznej, że się nie męczyła w ustawicznym karuzelu świata, że nie psuła sobie świeżości twarzy kosmetykami; ale spokojna atmosfera domowego życia, to nie upał światowego tłoku, w którym świeżość kwiatu duszy wędnieje, ścięra się pył idealności. Dzisiejsza kobieca śmiałość, dzisiejsza kobieca rezolucja i (na co Angielka nacisk kładzie) odrzucenie na bok dawnej wstydlivosti, dawnej skromności kobiecej, niezmierne kobiecie starość przyspiesza. „Są kobiety jednakowych ze sobą lat, a niby niejednakowego wieku“ — pisze autorka angielska. Dzieciwstwo duszy (pojęte u niej tak, jak u naszego poety) niezżyta siła wrażeń, więc świeżość duszy, uczucie tklivość, zachowana w sercu kochającej — to wszystko na przedłużenie młodości wpływa i odbija się na powierzchowności, na układzie, na ruchu. Kobieta, która się już nie rumieni, jest duszą starą, i ta jej starość moralna przejawia się w ostrości rysów, w złożeniu ust — w czemś trudnem do wypowiedzenia przez słowa, ale dostrzegalnem dla wzroku. Jak uczony, który nad zawiłymi formułami matematyki lub badaniami filozofii w głębokiej pracy myśli czoło sobie zmarszczkami zrysuje, tak są zmarszczki kokieterii, są jakieś zmarszczki niewstydlivosti się niczego śmiałości, zmarszczki wyjałowienia uczuć wyraźne na obliczu, na fizioognomii człowieka. Na tej zasadzie sztuka pewnym postaciom nigdy młodości nie odbiera: Matka Boska w takiej nawet życia swego epoce, że młodość lat już daleko po nią została, u największych mistrzów, którzy przecież umieliby ideał swój w każdy kształt wcielić i w warunkach artyzmu pięknym uczynić — u Michała Anioła, na przykład, nosi zawsze na sobie blask młodości. Jest to zawsze dziewica — jest to zawsze Najświętsza Panna.

Schodząc w sferę życia powszedniejszą, ale zawsze oznaczając kobiecość przez uczuciowość, M-rs Linn Linton charakteryzuje ją, w odbiciu życia codziennego, u młodej panny mniej więcej taksamo, jak to Brodziński w *Dziadku*, jako wskazówkę dla mężczyzny daje:

„Która kocha bez przesady
Śpiewy, tańce, dzieci, kwiatki,
Szaleje za nią, bo to żona,
Z Opatrzności naznaczona“.

Jest niewątpliwe podobieństwo między naszym a angielskim pojęciem kobiety, jest takie pokrewieństwo myśli w przedstawianiu sobie ideału kobiecości, jakiego nie znaleźlibyśmy u Francuzów, którzy ładność, wdzięk miły, przez przymiotnik „coquette“ wyrażają. I z Niemcami choć już bliżej jesteśmy, nie godzimy się jednak na pojęcie kobiety, bo tam braknie jej takiej podniosłości, jakiej nam w szlachetniejszych rysach charakteru kobiecego nieodzownie potrzeba. Nasza kobieta — to nigdy nie służa, ale mężczyźnie równa, choć od mężczyzny inna: kochanka, przyjaciółka i towarzyska — pracy życia współniczka.

Maryja Ilnicka.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż w Czerwcu i Lipcu 1884 r.

Trójka czy Trójca? — Pozytywizm i jego różni przedstawiciele we Francji: I. Renan i jego książka: *Nowe studia z Historii Kościoła* — Nowy tytuł starej książki. — Przedmowa. — Renan jako autor książki do nabożeństwa. — II. Alf. Daudet, jego nowa powieść *Safo*. — Obraz z życia i z rysunku paryzkiego. — Talent i jego użycie. — III. Jan Richetin i jego *Rymów* tom I, tytuł: *Bluszczyt* — *Sie iur ad Astra*. — Co to jest za człowiek? i jaka jest książka? — Dokąd idziemy?

Czytelnicy „Bluszczyt“ otrzymali już w swoim czasie i miejscu wszystkie wiadomości dotyczące się pism p. Renana. W tej liczbie kronikarz nasz rozpisał się nawet obszernie, o ważnem dziele tego pisarza: „Początki chrystyanizmu“ (*Les Origines du Christianisme*). Wiemy więc dostatecznie, jaki jest punkt wyjścia słynnego autora, i jakie są jego dążności.

Dziś, pod pokrywką nowego tytułu i nowej niby książki, pan Renan daje nam rzeczywiście pewne tylko wyciągi z poprzedniego dzieła. Ośmiotomowe *Compendium* może przestraszyć i najodważniejszego czytelnika — *Non cuius homini contigit adire Corinthum!* Ciekawość bierze przeczytać, ale ludziom szczególnie światowym, czasu i cierpliwości nie stanie; sprzedaż więc grubego dzieła szła niezmiernie powoli. Jak to się dzieje zwykle, z książkami naukowej materii. A wydawca, potrzebujący zysku, niecierpliwił się wobec tej opieszałości czytelników. Niektóre tomy rozehodziły się dobrze i prędko; ale część większa nie ruszała się z półek księgarskich.

Przemysłny i rachunkowy wydawca nasunął myśl znakomitemu pisarzowi: wyciągnąć z tej wielotomowej historii, pewien ekstrakt — coś jakby bukiet najwonnějších kwiatów. — Jeden tom p. Renana to się sprzedaje jak kukielka za grosz. Ludzie światowi, nierozpatrujący się zbyt cznie... dla nich te *Wypisy*, będzie to zupełnie nowa książka, bo tamtej nie czytali! Autor bez pracy prawie puścił w obieg nową niby książkę i prawa jego 0,75° albo conajmniej 0,50° od egzemplarza, opłaca mu sownie nową, króciutką przedmowę.

Itak się stało: mamy więc nowy tom p. Renana pod tytułem: *Nowe studia z Historii Kościoła*. Chociaż bowiem tytuł francuzki powiada: *d'histoire religieuse*, właściwie chodzi tu jedynie o Kościół *Chrześcijański*, a nie o *Historię Religii* w ogólności. W krótkiej i pięknej przedmowie autor tłumaczy cel i potrzebę tych wyciągów, zebranych w jedną książkę; ale my, wiedząc już, jaka jest jej geneza, zostawiamy na stronie tę obrotę autora, *pro domo sua*, a przechodzimy śpiesznie do końca, bo tu jak zwykle, najważniejszy kryje się argument.

Niema potrzeby mówić, jak silną i bujną wyobraźnią obdarzony jest znakomity pisarz; onato niesłychanym blaskiem i przepychem złoci jego najpiękniejsze karty i daje mu odrębne i wyłączone stanowisko wśród współczesnych pisarzy. Ale ona też porwa go ciągle i prowadzi na rozstajne drogi umysłu, na których duch jego męczy się tak ciężko, szukając wiecznie: która z tych dróg jest prawdziwa?

I teraz więc pokazuje on nam jedno z tych pokuszeń, na które go prowadzi wiecznie ta wietrzniça — które były tem mętnem źródłem, z jakiego wypłynęły takie książki, jak: *Życie Jezusa* i większa część ośmiotomowej *Historii* początków chrześcijaństwa. Ale, aby mu zostawić i całą zasługę i całą odpowiedzialność w tej sprawie, daje tu głos samemu Renanowi, i tłumaczy te kilka ustępów z jego nowej przedmowy — co do słowa:

„Nie będę ukrywał wcale — mówił p. Renan — że ze wszystkich książek tą, której najbardziej zazdroszczę, jest to: „*Le livre de Messe*“, (to co my nazywamy *Złoty otturzyk*). Bez zaprzeczenia, książka ta zawiera w sobie bardzo piękne rzeczy, ale potrzeba wyznać, że powodzenie jej było dziwne i wcale niestosowne do jej wewnętrznej wartości. „Zasłużyć na to, aby go czytano z taką miłością w godzinach rozmyślenia i samotności; uży-

wać niezrównanego przywileju, aby mózgi zatrzymać na swoich kartkach zapomniany wzrok kobiety, w chwili, gdy ona się czuje samą wobec swojego Stwórcy;—na to potrzeba, aby „Ołtarzyk“ tkany był złotem i lnem najcieńszym. Owoż, nie podobnego w nim miała! Książeczka ta, którą tyle wybranych istot tuli w pobożnej dłoni i nieraz do ust swych ciśnie, książeczka ta pełna jest mierności, błędów i takich rzeczy, które utrzymują kobiety w szkodliwym nałogu: godzenia się ciągle z *absurdum*.

„Te wiersze, na których tyle pięknych zatrzymuje się oczu, z pewnym rodzajem miłosnego zachwytu, są często wszelkiej pozbawione myśli i znaczenia. To też dzień, w którym zdołamy dać w ręce kobiety doskonalszą do nabożeństwa książkę, będzie dniem wielkiego postępu. Daleki jestem od tego, aby mieć zamiar przedsięwziąć tak subtelne dzieło, które się może udać jedynie przy pomocy wielkiego talentu, serca i naiwności (prostoty). Ja pragnę jedynie zebrać w małym formacie, kilka „szczyrzych“ kartek, dla tej, lub dla tych, których nie zadawalnia stary „Ołtarzyk“. Ostatnia moja ambicja zaspokojoną zostanie, jeżeli będę się mógł spodziewać, wejść do kościoła po śmierci, w postaci maleńkiej książeczki in 8-vo, oprawnej w czarny safian i trzymanej w długich, wysmukłych paluszkach rączki, wytwornie ościśniętej śliczną rękawiczką!“

Daję to w wiernym tłumaczeniu czytelnikom moim, bo jest to najszczerze, najprawdziwsze wyznanie wiary filozofa, moralisty i estetyka francuskiego naszej epoki. Do jakich otchłani prowadzi ten rodzaj *hysterycznej* literatury, zobaczmy to na żywych przykładach, o których niżej mówić będziemy. Tutaj, dosyć jest wskazać, jaką jest, ta wszystko rozlewająca dążność tych mistrzów świata.

Są więc ludzie, którym „Ołtarzyk“ do modlitwy nie starczy? którym potrzeba literackiej doskonałości w modlitwie? Tak myśli p. Renan, i zdaje mu się, że jego miękkie, zniewieściałe pióro zastąpi to, na co się wieki całe nauki, pobożności i wiary składały! — Zapomina o tem, że tacy ludzie jak święty Bernard, święty Franciszek i tylu innych, którzy byli zarazem i największymi pisarzami swojego czasu — ograniczając się do tej niezrównanej prostoty stylu, czynili to z głębokiego przekonania, że dla duszy, modlącej się gorąco i szczerze — nie wytworności stylu, nie retoryczne kwiaty, ale słowo prostego wyznania zadostyc czyni. Zapomina zresztą, że styl jego, pełen blasku dzisiaj, czasem straci cały ten wdzięk, który jest tylko przelotnym, czasowym polem.

Dziś już sam autor wyznaje, że potrzeba oprawy w safian i złoto—że mu potrzeba białych rączek, podłużnych paluszków, paryskich rękawiczek w dodatku,—jakgdyby książka do nabożeństwa była przeznaczoną jedynie dla grzesznika tego rodzaju; jakgdyby wśród tej cierpiącej ludzkości, kobieta sama tylko, była oddana modlitwie!

„Ołtarzyk złoty“ jest to podręcznik i przewodnik duchowy tylko; bo któż z nas, w godzinach strasznych, kiedy się życie łamie i kruszy, kiedy się dusza mocuje i walczy z boleścią, kiedy serce krwawi strasliwą ranę — któż z nas, zwalony w proch przed obliczem Boga, u stóp ołtarzy, któż się uciekał do książki do nabożeństwa? Jedno, co jest przystępne, co jest możliwe wówczas, to są właśnie owe proste, naiwne modlitwy—których nas wyuczyły matki. One same powstają w sercu, do ust się cisną i w gorącej a nagłej prośbie, bezmyślnie prawie, ale płyną i płyną, jak potok żalu i prośby.

Na co więc i dla kogo, mogą się przydać owe kartki Renana, pięknym napisane stylem? Ale tak to oni pojmują wszystko,—jak starzy poganie i wracają do formuły, do litery—i pokusy światowe, biorą za objawy ducha. bo to im schlebia.

Kobieta, wprowadzona tu na scenę w tej przedmowie:—pragnę wierzyć, że wystąpiła bez rozmysłu. Kobieta ze swoim urokiem wiekuistej pokusy jest to nuta, która się najgłośniejszy odzywa w całym życiu Renana, dla tych, którzy umieją czytać w jego pismach autobiograficzną część uczuciowej jego strony. Kobieta, w tej postaci wykwintnej, wyszukanej, owianej całym urokiem go-

rać wyobraźni — jest to owe widmo, które młody kleryk spotkał ongi na progu świątyni, i które go odrzuciło na burzliwe otchłanie świata.

Zdaje się, że Renan dotychczas nie zdołał ująć tej ludzkiej mary, bo w życiu domowym i rodzinnym inaczej mu się urzeczywistniła postać kobiety. Ale w godzinach samotnych dumań pod wpływem wystrojonej harfy, umysłowej pracy—kiedy tworzy najpiękniejsze, najwymowniejsze karty—ku niej-to się zwraca—z nią-to ręka w rękę idzie na te bezdroża, gdzie błędny duch go prowadzi—i dokąd tyłu już słabych i niewidomych pociągnął za sobą ten nowożytny Orfeusz.

Znowu więc i ciągle powraca do piekła, czaruje „wszystkich“—szatanów i ludzi, ale swej Eurydyki nie może pochwylić w ramiona i wynieść na jasne słońce. Nie rozerwą go zapewne Bachantki, bo dziś już on zdala trzyma od siebie pokusy; ale całe swe życie zostanie, jakim był.

A człowiek, niepewny, chwieje się wśród obu: i żyć nie chce i wstąpić lęka się do grobu.

Powiedziałem wyżej, że zobaczmy na żywych przykładach: dokąd prowadzi francuskich pisarzy ta szkoła, naczelną której stoi Renan. A jest to bezwzględnie prawdziwa szkoła, choć niemoralna ale filozoficzna—*sui generis*. Zwątpienie moralne i wiara w odrodzenie na drodze najgrubszego materializmu, któremu sztuczny pokost nadaje pewien rodzaj wdzięku: to prawdziwy lep na głupie kwiczoły. Mówiliśmy o przykładach tego nauczania: oto dajemy najświeższy.

Ten, który ze współczesnych pisarzy francuskich młodszego pokolenia, najbardziej się zbliżył do mistrza, wdziękiem stylu i poszukiwaniem pewnego ideału, na drodze najmaterjalniejszych sedukcji niewieści, jeżeli wolno mi tak się wyrazić, jest Alfons Daudet.

Nowa jego powieść *Safo* może posłużyć za typ charakterystyczny obecnej epoki i tej szkoły, o której wspominałem. *Realizm, Pozytywizm, Naturalizm*,—ile słów, tyle barbarzyńskich wyrazów i tyle moralnego bluźnierstwa—coraz większe i jedyne zajmują miejsce we francuskiej belletystyce. Są tacy z adeptów, którzy zostają w przedsięwzięciu; inni znowu, którzy idą dalej nawet, niżeli świątynia, jak naprzykład p. Goncourt (ostatnia jego powieść: *Chérie* i jej przedmowa szczególnie). A nakoniec ci, jak Daudet, którzy zostają w świątyni—wierni tradycji obrzędowi—ci ostatni, z powagą kapłańską, z całą powagą namaszczenia przystępują do rzeczy i wymijają wszelkie szkoły, umieją tak przystroić, utreć opowiadanie, że czytelnik niepostrzeżenie najsubtelniejszą truciznę polyka.

Ostatnia powieść Alf. Daudet'a ma za tytuł. *Safo*. Dla ludzi obeznanych z historią tej starożytnej poetki nie ma potrzeby tłumaczyć, co znaczy ten tytuł, wypisany na współczesnej powieści francuskiej: a dla tych, którzy są nieświadomi przygód Greczynki, powtórzę słowa samego autora w poświęceniu tej powieści złożone:

„Synom moim, gdy dojdą do lat dwudziestu!“

Wiecie zapewne, że p. Daudet mieszka po lewej stronie Sekwany, na kresach tego, co się zwało tu niegdyś *Le Quartier Latin*, tam, daleko, daleko ku pustyniom obserwatorium. Przedmiot powieści jest wzięty z życia studenckiego, z tej Arki Noego, w której jest po parze wszelkiego zwierza. Czego może nauczyć tego rodzaju przedmiot? daremnie pytać—autor ma prawo wyboru. Nieraz u flamandzkich malarzy zdarza się spotkać nieobyčajność i niegrzeczność w formie, ale to jeden tylko szczegół i jedna strona schwyconej pobieżnie postaci. Nikomu przecież nie przyjdzie do głowy dodać do tak nieskromnego obrazka całe studium i wykład, jak się to tutaj stało, ze szczegółami i drobnostkami wszelkimi. Otóż *Safo* jest studium nad obrazkiem podobnie brzydkiej natury.

Jan Gaussin, chłopak młody i ubogi, gotuje się do zdania egzaminu w zawodzie — konsula. Gotuje się, jak to dzieje się zwykle, ucząc się *czegoś* i *jakoś*, a częściej niż należy, szlifując bruki paryskie. Jednego wieczora wpada na balik studencko-artystyczny i tam spotyka ostatnie słowo nauki, w postaci pięknej, wyemancypowanej dziewczyny, nazwiskiem Fanny Legrand. Fanny jest to Studentka (Etudiante). Z powołania

jest ona modelką i nie ma pracowni malarskiej, a szczególnie rzeźbiarskiej, gdzieby jej nie znano, jak zły szeląg. U znakomitego rzeźbiarza pozowała na posąg „Safo“, z kąd jej zostało przezwisko, zastosowne do rozmaitych wypadków i nałogów jej błędnego życia.

Zawsze gotowa do romansu, modelka rozmiłowała się natychmiast w nowo spotkanym Gaussinie, a miłość ta staje się prawdziwym szaleństwem, kiedy się dowiaduje, że nowy znajomy nie jest ani poetą, ani malarzem, ani rzeźbiarzem, ani muzykiem! To zupełnie dla niej nieznane kraje, ziemia obiecana. I na poddaszu starej, brudnej oberży, w klatce, gdzie siadywał Jan Gaussin—nazajutrz znalazła się para.

(Dokończenie nastąpi)

Kronika działalności kobiecej.

— Panie: Aniela Bogusławska i Marya Czapelska, działając z ramienia redakcji *Kurjera Warszawskiego* i przy pomocy Sióstr Miłosierdzia zajmowały się dobroczynnie rozwojem i rozdawaniem żywności między dotkniętą przez powódź ludnością okolic nadwiślańskich. W czasie wyprawy p. Maryi Czapelskiej w towarzystwie Sióstr Miłosierdzia, Anieli i Bronisławy, ku dalszemu okolicom górnej części Wisły—w Puławach panna Ładnicka, córka miejscowego obywatela i rzeźnika okazała się wielce pomocną przy zgromadzeniu potrzebnej żywności.

— P. Janina B. z Woli L....ej w dzień imienin zmarłej swej córki, która byłaby skończyła właśnie szesnaście lat, rozdała między dziewczęta i kobiety wioski 20 egzemplarzy książeczki: „Gawędy Ogrodnicze“ przez Gwiazdźca. Matka zmarłej będąc pewną, że córka jej, żyjąc,—byłaby „nie tylko dobrą przyjaciółką swych rówieśnic z wioski, ale oświeconą kierowniczką ich w pożytecznej pracy“ postanowiła corok obchodzić w podobny sposób jej imieniny, co sprawi, że wspomnienie zmarłej stanie się jej w okolicy prawdziwie świętą pamięcią. Dar uczyniony wiosce nie jest stosunkowo tak znacznym, ale został bardzo szczęśliwie pomyślany, ku czemu przecież przyczynił się *Korrespondent Płocki*, gdzie ofiarodawczyni ocenę pożytecznej książki znalazła. Fakt ten w połączeniu z tem, cośmy w przeszłej kronice naszej podali o *Gazecie Lubelskiej*, dowodzi, jaki wpływ może dobrze skierowana działalność prasy. Zwłaszcza prasa prowincjonalna, znająca szczególne potrzeby okolic swoich, ma zadanie bardzo ważne rad i wskazówek dobrych. „Gawędy Ogrodnicze“, są to niby rozmowy księdza proboszcza, prowadzone z ludem wioski Trzepowo pod Płockiem: najpierw o korzyściach, jakie ogród przynosi, następnie o sposobach założenia go i utrzymania. Jest to zatem podręcznik ogrodniczy, najpopularniejszy, jak można; w Woli L.... przeczytany on został w dwóch posiedzeniach przez panią ze dworu kobietom i dziewczętom zebranych i to w obecności dworskiego ogrodnika, który w sposób praktyczny objaśniał niektóre ustępy gawęd. Czytania te miały miejsce w ogrodzie. Szkoła dworska dostarczy na początek materiału dla przyszłych ogrodników, postanowiono przecież założenie szkoły wiejskiej na gruncie jednej z gospoń wiejskich, która przez pięć lat we dworze niegdyś służąc, należy do więcej oświeconych kobiet wsi swojej. Ze ogrodnikowi dworskiemu zakładanie ogrodnów wiejskich pewną korzyść przyniesie, został on już i z tego względu zainteresowanym, w tej sprawie, która, jako z inicjatywy i za staraniem pani ze dworu powstała, zalicza się do pracy kobiecej w kierunku jej najszlachetniejszym, bo jest on razem dobroczynnym i obywatelskiego znaczenia.

— Kolonie letnie dzieci słabowitych a ubogich, zostały po raz pierwszy w tym roku we Francji wprowadzone jakoby sposobem próby i doświadczenia. Wysłano dziewięciu chłopców i dziewięć dziewcząt

czyniek; względem tego ostatniego oddziału zaznaczyła się pochwycie dobra chęć ochmistrzyni prywatnej szkoły dziewcząt w miejscowości Luxeuil, gdzie kolonia dziewczynek wysłana została. Pomieściła je w lokalu szkoły swojej, przez czas wakacyjny z uczennic opróżnionej, i za wyznaczoną przez komitet opłatą dała im stół tak obfity i pożywny, czuwała nad ich dobrobytem tak troskliwie, że próba wypadła najpomyślniej. Rozmieszczanie dzieci wysyłanych na kolonie letnie w lokalach szkół wiejskich, które przez ciąg wakacji letnich stoją próżnemi, zdaje się być we Francji przyjętem. Pisma Francuzkie wymieniają też nazwisko dozorczyńi dziewcząt: M-elle Mercier, jako osoby dobrze w tej sprawie zasłużonej. Jedną z dziewczynek miała bardzo przykre i zadawnione rany, które przez staranny opatrunek dozorczyńi wygojeniem zostały. Dziewczynki wysłane wzięto z miejskiej szkoły paryzkiej przy ulicy Milton.

— Laura de Châtillon, jedna ze znakomitszych malarzek francuzkich, została wysłana przez Francuzkie Ministerium Oświecenia do Anglii z celem zwiedzenia londyńskiej szkoły rysunkowej dla dziewcząt, mieszczącej się na South Kensington, obok i w bezpośredniej łączności z istniejącym tam, że muzeum sztuki. Sprawozdanie ze spostrzeżeń uczynionych zdała w raporcie urzędowym gdzie należy, i zarazem ogłosiła je w piśmie, traktującym o wychowaniu. Paryż, jak czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne, posiada bardzo dawną, bo początku naszego wieku sięgającą szkołę rysunku i malarstwa dla kobiet, bodaj czy nie najstarszą w Europie, co też jest uważanym za jeden z głównych warunków rozwinięcia estetycznego smaku Francuzek w wielu gałęziach ich pracy. Ale obecnie chodzi o szkołę ze względem szczególnym stosowania sztuki w przemyśle. Inicytywa wyszła od Laury de Chatillon, która myśl swoją cierpliwie i wytrwale, bo przez lat dwadzieścia usiłowała w czyn wcielić. Tak pisze ona o tem: „Dwadzieścia lat temu, studiując rolę ornamentacyi w sztuce, dostałam do rąk książkę bardzo znaną przez ornamentystów: zbiór sztychów siostr. Chauvet wydany w końcu wieku XVIII-go. Siła i piękność tej pracy uderzyła mnie; pomyślałam, że w obecnej chwili żadna z kobiet nie podobałaby dziełu równej wartości, i pomyślałam: czy nie należałoby przez szkołę publiczną pomódz rozwinięciu się dla kobiet, nietylko zawodów wręcz już artystycznych, jak sztycharstwo, ale przemysłowych, do których-by sztuka stosowana była, jak na przykład w emaliowaniu, rznięciu kamei i t. p. zajęciach.“ Szkoły takiej właściwie we Francji nie było; Laura de Chatillon nakreśliła jej plan i zwróciła się z nim do prefekta Sekwany, Hausmanna. Było to w r. 1863. Hausmann przyznał, że rzecz byłaby bardzo pożyteczną; ale trzeba było z wykonaniem jej poczekać, aż do czasu, gdy większa liczba uczennic wyszłych ze szkół zawodowych, przez rząd subwencyonowanych a właśnie w świeżo otwartych, będzie mogła przedstawić kandydatki do owej szkoły. W trzy lata potem Thiers, dowiedziawszy się o planie szkoły, zainteresował się nim i począł myśleć Laury Chatillon protegować; w czasie wystawy paryzkiej z r. 1876 zawezwano ją, aby na użytek francuzkiego Ministerium Oświecenia dokonała studyów krytycznych nad okazami pracy kobiecej, w której sztuka jest w przemyśle stosowana, czego się podjęła i dokonała, a przyczem okazały Londyńskiej Szkoły sztuki tak ją uderzyły, że zasięgała informacji co do środków kształcenia się w niej Angielek i, otrzymawszy je od reprezentanta szkoły na wystawie, nawet szkołę tę osobście zwiedziła. Przecież wypracowany przez

nią projekt szkoły podobnej spoczywał nieużytkowany, i dopiero teraz, tak minister oświecenia, jak dyrektor wydziału nauczania elementarnego, zażądali go od niej i z misją świeżych studyów, świeżych spostrzeżeń, wysłali ją na zwiedzenie szkoły londyńskiej.

— Istnieje w Liverpoolu od lat kilku stowarzyszenie, przeważnie z kobiet złożone, a które ma na celu zapobieżenie srogiemu obchodzeniu się z dziećmi. Stowarzyszenie zostaje w stosunku z rozmaitemi dobroczynnymi towarzystwami, z zarządem szkolnym i tym podobnymi zakładami, które dostarczają mu wiadomości o dzieciach nieszczęśliwych, na które wtedy Stowarzyszenie opiekę swą rozciąga. Mały, niski domek na jednym z przedmieść miasta, przyjmuje nieszczęśliwe istoty, jeżeli stowarzyszenie inaczej radzić im nie może; lecz często dziecko jest dręczone w służbie, lub przy pracy jakiejś, i wtedy stowarzyszenie tylko mu inne pomieszczenie, innych chlebodawców wyszukuje. Przez ostatnie sześć miesięcy spotkało się ono z pięćdziesięcioma wypadkami srogięgo bicia i dręczenia dziecka, a przeszło ze stoma niemilosierdnego opuszczenia; lecz więcej jeszcze dzieci zostało wystawionych na psujące je wypędzanie po żebraniu, i zmuszanie do tem podobnego przemysłu ulicznego. M-rs Stretton zamieściła też świeżo w *Timesie* list, przez który wzywa do zawiązania podobnego stowarzyszenia opieki nad dziećmi tak w Londynie, jak we wszystkich większych miastach Anglii. Między wielu innemi nieszczęściami i występami, które ulica szczepi dzieciom, M-rs Stretton wymienia pijaństwo. Do dzieci, które mają prawo do litości publicznej, zalicza ona dzieci, pokazujące sztuki w bandach linoskoków. Są one fizycznie ciężko męczone, często bite, a zawsze prawie psują się moralnie.

— Kwestya głosowania kobiet dotąd porusza w Anglii umysły, i stronnictwa walczą ze sobą za jej pośrednictwem, ale są myśliciele wyżsi nad takie roznamietnienie chwili, i uważający rzecz za zbyt ważną dla społeczeństwa w następstwach swoich, aby mogła być użyta jedynie za środek w dopięciu celów pobocznych. Ktoś z ich liczby skreślił w *Timesie* obszernie pod tym względem uwagi na osobistych spostrzeżeniach gruntowane, a między któremi przytacza list, w czasie podobnego starcia zdań w Ameryce przesłany Izbie reprezentantów Stanu Massachusetts przez kobietę, która zamieszkiwała lat ośm miejscowość, gdzie kobieta praw głosowania używa, to jest: na terytorium Wyoming. „Miasto, w którym przebywałam — pisze Amerykanka — liczyło 500 głosów kobiecych; przykładałam do tej sprawy wielką uwagę, otóż przez ośm lat tam przepędzonych, nie wiem, czy naliczyłam dziesięć, dwanaście kobiet, któreby głosowały inaczej niż ich mężowie lub ojcowie a nawet bracia“. Amerykanka kończy list swój wyznaniem, że poprzednio namiętna stronniczka głosowania kobiety, zmieniła następnie zdanie, gdy rzecz w praktyce takie jej owoce przedstawiła. Że w odległym od ogniska oświaty terytorium, ogół kobiet może, a nawet musi być niżej wykształconym od siostr swoich zamieszkujących wielkie miasta—to rzecz naturalna, ale bynajmniej położenia nie zmieniająca, bo i mężczyzna miejscowy temsamemu stanowi podlega. Wiele osób przypuszcza, że autorem owego artykułu *Times'a*, w którym się wów list Amerykanki zawiera—jest Spencer. Ameryka wpłynęła niezmiernie na zmianę wielu poglądów uczonego męża. Wiele rzeczy widzianych w praktycznym ich zastosowaniu wywarła na niego tensam skutek, co na ową mieszkankę Wyoming.

— Nowa gałąź pracy otworzyła się w Anglii

dla kobiety, a jest niem rysowanie maszyn. Wielka fabryka maszyn Boyer'a i Peacock'a w Gorton, zatrudniająca ogromną liczbę, bo 2,000 robotników, postanowiła w początkach bieżącego roku powierzyć kobietom rysowanie modeli maszyn, która-to robota wymaga wielkiej akuratności i troskliwej uwagi. Otóż pierwszy kwartał wykazał tak dobre rezultaty, że obecnie kilkadziesiąt rysowniczek z dyrektorką na czele, zostało tam stale zajętych.

— Pamiętniki królowej Wiktoryi wyjdą wkrótce w przekładzie indyjskim. Młoda Parsanka, w Bombay zamieszkała, Putlibai Wadia, prosiła królowej o pozwolenie, które już otrzymała.

— Marya Walker, Amerykanka, będąca jedną z pierwszych kobiet, które posiadały stopień doktora medycyny, — pisze dzieło o prawach kobiety. Osobistość to jednak nietrafna i przy najmniej w Europie nie jedyną zwolennikową dla opinii swoich.

Królowa Portugalska, Marya Pia, zajęła się wzniesieniem w Lizbonie dobroczynnego zakładu dla dzieci opuszczonych. Nabyty został na ten cel dom na placu Tapada di Ajuda, a królowa nietylko protekcją swoją, ale czynne zajęcie poświęca tej instytucji nowej w Portugalii. Trzy dozorczyńie zostały sprowadzone z Włoch, z Turynu. Jedną między niemi jest siostrą miłosierdzia.

— Justyna Lüders, wdowa po Hamburskim senatorze, Edwardzie Lüders'ie, straciła w roku 1857 jedyną, już dorosłą córkę; ta w czasie długiej i bolesnej choroby, gdy matka czyniła jej różne posługi, cierpienia łagodzące, zaczęła prosić, aby po jej śmierci matka założyła dom dla chorych dzieci. Wdowa nie była zamożną, przecież biedna matka nie zapomniła słów córki. Bezdzienna i samotna już zupełnie, oddała się odtąd wyrabianiu kwiatów z wosku i chleba, sprzedawała je i dawała w darze tym, którzy nadsyłali jej grosz dobroczynny, mający się przyłożyć do wykonania zamierzonego dzieła i oto po 25-ciu latach pracy, wytrwała kobieta stanęła u celu i w dniu 3 Maja, b. r., został otwarty w Lauterbergu, w Harzu, tam gdzie niegdyś umarła z suchoty Klara Lüders, zakład leczniczy dla chorych dziewcząt. Justyna Lüders, z domu Möring, jest rodem z Pruss, z miasteczka Pankow; przysłała na świat w r. 1809, to jest w roku wojny i zamieszania, żyła z mężem krótko, i teraz wreszcie już siwa jak gołąb, 75 lat licząca, ale jeszcze duchem i ciałem nie zgrzybiała, stanęła u celu swych pragnień. Mówi też też wszystkim, że teraz, gdy już dokonała swego—umrze. Cesarzowa Augusta i Marya Królowa Hanowerska przyłożyły się darami swemi do wzniesienia zakładu. Wazon z chleba, pełen różnokolorowych kwiatów jej wyrobu, stoi umieszczony w Hanowerskiem: „Welfenmuseum“. Kto sobie przypomina przepiękne kwiaty z wosku, wyrobu p. Kondratowiczowej (Syrokomlowej), także w ciężkich chwilach jej życia na naszych wystawach widziane, — zrozumie, że takie modelowanie w wosku może być pracą rzeczywiście artystyczną.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 7-my powieści pod tytułem: **Z krwawych dni**; oraz powieści pod tytułem: **Sąd Boży**, arkusz 5-ty.

TREŚĆ. Pogawędka. — Seweryna Duchńska, życiorys, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Kobieta w Anglii, (dokończenie), przez M. I. — Nowiny paryzkie. — Kronika działalności kobiecej. — Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою
Варшава, 27 Іюня 1884 года